

MARCIN WOLSKI

PAMIĘTNIK STARÉGO UBEKA

FRONDA



PAMIETNIK
STARÉGO
UBEKA

MARCIN
WOLSKI

PAMIETNIK
STAREGO
UBEKA

FRONDA

Projekt okładki: Fahrenheit 451

Ilustracje na okładce: © ralko@fotolia.com, © Netfalls@fotolia.com,
© Myst@fotolia.com

Dyrektor projektów wydawniczych:
Maciej Marchewicz

Korekta i redakcja:
Małgorzata Terlikowska

Skład i łamanie:
Point PLUS, Warszawa

© Copyright by Marcin Wolski 2016
© Copyright for Fronda PL, Sp. z o.o., Warszawa 2016

ISBN 978-83-8079-060-5

Wydawca

FRONDA

Fronda PL, Sp. z o.o.
ul. Łopuszańska 32
02-220 Warszawa
Tel. 22 836 54 44, 877 37 35
Faks 22 877 37 34
e-mail: fronda@fronda.pl
www.wydawnictwofronda.pl
www.facebook.com/FrondaWydawnictwo
https://twitter.com/Wyd_Fronda

*Andrzejowi Zaorskiemu – Ojcu duchowemu
postaci Bronisława Betona-Batona
Matka*

I.

Zleceniodawca

Nie wiedziałem, że istnieje naprawdę. Przynajmniej do dnia, kiedy zadzwonił do mnie, przedstawiając się jako wielbiciel mojej twórczości. Zapytałem, czy przypadkiem nie pomylił mnie z moim bratem.

– Z tą postkomunistyczną szmatą, Marcinem Jędrasem? – zachrypiał.
– Tajnym współpracownikiem TW „Literat 2”? W życiu!

Zdrętwiałem. Na temat uwikłań mego brata bliźniaka pojawiły się ostatnio liczne doniesienia, które ten stanowczo dementował.

Zresztą czy bliźniaka? Z całą pewnością nie jesteśmy jednojajowi. Wprawdzie urodziliśmy się rozdzieleni jedynie godzinną przerwą, ale wiele wskazuje na to, że jesteśmy braćmi przyrodniymi. Różnią nas nie tylko kolor włosów, oczu i grupa krwi, ale nade wszystko charakter. Stąd brały się całkiem poważne podejrzenia na temat prowadzenia mojej nieboszczki matki, o której mój kochany tatuś nigdy nie mówił inaczej niż „ta suka”.

Naturalnie, powinienem zawsze i wszędzie bronić pamięci mojej mamusi, ale jakoś nie potrafiłem. Pelagia Jędras była kobietą z gatunku tych, o których sąsiadki mówią z przekąsem „ładniutka”. Tak zresztą wyglądała na zdjęciach z młodości. Zadarty nosek, pełne policzki, szelmowski uśmiech... Reszta też – same krągłości. Ojciec zadurzył się w niej bez pamięci między dwoma kolejkami ciepłej ogólnowojskowej wódki. Oczywiście każdemu wolno kochać, ale kto przytomny żeni się z barmanką z klubu garnizonowego?

Zapomniałem dodać, że tatuś był podówczas lekarzem wojskowym, który wkrótce po Październiku ewakuował się do cywila i na lata ugrzązł

w małym miasteczku na Ziemiach Odzyskanych, w poniemieckiej chałupce położonej ledwie trzysta metrów od siedziby swego dawnego garnizonu. Miał ładne drobne ręce, które niewątpliwie po nim odziedziczyłem, wszelako bez jakiegokolwiek sprawności manualnej, która z niego uczyniła cenionego chirurga. Skądinąd jego legendarny perfekcjonizm przyczynił się do jego śmierci. Mówiono mi, że kiedy szedł już po umyciu rąk na operację, potknął się na schodach, a lecąc na przeciwległą ścianę, instynktownie cofnął dłonie, aby ich nie pobrudzić. Instynkt zawodowy okazał się silniejszy od samozachowawczego. Ale nie odbiegajmy od tematu!

Wśród wszelkich możliwych kandydatów na naszego współojca szczególnie pasował mi listonosz, który – jak sięgnę pamięcią – nawet jeśli nie miał listów, zawsze kiedy przejeżdżał koło naszej posesji, dzwonił rowerowym dzwonkiem. Podejrzenia moje wspierało nie tylko niezwykle podobieństwo mego brata Marcina do funkcjonariusza Poczty Polskiej (zwłaszcza wydatny nos), ale wielka predylekcja do listów. Od kiedy pamiętam, pisał. Do dziewczyn, do kolegów, do instytucji, ze skargami i zażaleniami, nawet do mnie, a jak się okazało również do Służby Bezpieczeństwa. Ja przeciwnie, nawet napisanie kartki pocztowej przychodziło mi z wysiłkiem, choć wiersze, powieści i opowiadania pisałem w wielkich ilościach już od dzieciństwa. Marcin tych gatunków podówczas nie uprawiał. Ale podejrzewam, że mi zazdrościł.

Moi starzy rozwiedli się, kiedy mieliśmy jedenaście lat. Marcin zabrany przez matkę pisywał do mnie sążniste epistoły. Ja odpowiadałem zdawkowo, więc w końcu dał sobie spokój. Z własnej inicjatywy powiadomiłem go jedynie o śmierci taty, co zdarzyło się w przededniu rozdania matur. Na pogrzebie się nie zjawił, spotkaliśmy się dopiero na studiach, bo obaj zdaliśmy na polonistykę.

Inna sprawa, że ja studiowałem, na warszawską stację zarabiałem korepetycjami. On głównie „działał” i w związku z tym korzystał ze służbowej jedyki w akademiku przy Kickiego, przydzielonej mu przez Organizację. Pojawiał się też w awangardowych teatrzykach studenckich, ale tylko jako kierownik artystyczny. Organizował rozmaite zloty, spędy, turnieje poetyckie. W efekcie studiował pięć lat dłużej niż ja. Zawsze jest coś za coś. Kiedy ja już piąty rok byłem belfrem, on dopiero został redaktorem stu-

denckiego pisma „Parabola”. Dostał też okienko recenzenckie w „Aktywności”, znanym opiniotwórczym miesięczniku. I szybko mnie przegonił.

Kiedy wreszcie udało mi się złożyć w wydawnictwie książczynę z opowiadania, on zadebiutował głośnymi *Płowcami* – powieścią z kluczem z lat panowania Władysława Łokietka. Z ciekawości kupiłem opasły wolumin i mocno wstrząśnięty rozpoznałem w tym dziele tylko niewiele zmienione rozwinięcie mojej młodzieńczej powieści, której kopię nasz tata wysłał mu kiedyś do przeczytania. Wściekłem się, ale co miałem zrobić? Wytoczyć rodzonemu bratu proces o plagiat? Dać mu w mordę? Mógłbym, gdyby nie był wyższy i silniejszy. A biegać po mieście i się żalić? Co by to dało? On jako młody, zdolny, cieszył się poparciem Związku Literatów, do którego przyjęto go z początkiem tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku. Ja bezpartyjny i niezrzeszony byłem popychadłem rady pedagogicznej. I to niezbyt długo. Z początkiem roku osiemdziesiątego, po opublikowaniu w drugim obiegu mych *Opowiadań prywatnych* (wcześniej odrzuciło je pięć legalnych wydawnictw), ostałem się bezrobotnym.

Zbiegło się to z nagrodą literacką dla mego brata za *Zapiski kłusownika*, dziełko napisane do spółki z nieznanym mi bliżej Bronisławem Betonem-Batonem. Olałem promocję książki odbywającą się na salonach „Żołnierza Wolności” przy Grzybowskiej. Kilka dni później Marcin nieoczekiwanie odnalazł moją kawalerkę i doszło wtedy do nieprzyjemnej rozmowy, w trakcie której zaproponował mi zmianę nazwiska.

– To ci na pewno pomoże! Sam rozumiesz, braciszku, świat jest za mały dla dwóch piszących Jędrasów. Rozmawiałem ze znajomym z MSW, wymianę dokumentów załatwią ci od ręki.

– I jak miałbym się niby nazywać?

– A to już zostało ustalone. Jędrzej Marciński!

Może powinienem mu się postawić, zwłaszcza że niedługo potem wybuchł Sierpień, z honorami przywrócono mnie do pracy, choć jak się okazało – na krótko. Ale trafiło mi do przekonania, że inne nazwisko będzie czymś lepszym niż nieustanne tłumaczenie się przed kolegami z opozycji z pokrewieństwa z reżimowym pismakiem.

Wprowadzenie stanu wojennego zastało mego brata na Zachodzie, gdzie sposobił się do zajęcia stanowiska radcy kulturalnego. Nie pomnę

już w Lizbonie czy Madrycie. Co ciekawe, nigdy tej funkcji nie objął. Na przełomie grudnia i stycznia udzielił bardzo ostrej wypowiedzi do Radia Wolna Europa, w której oświadczył, że „wybiera wolność”! Po miesiącu dostał stały felieton w paryskiej „Kulturze” i rychło wylądował na stypendium Instytutu Wolności w Stanach Zjednoczonych. Do kraju wrócił w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku, witany nieomal jak mąż opatrznociowy. Z marszu został senatorem, później posłem... Nasze drogi towarzysko zbiegały się rzadko, politycznie nigdy. Kiedy on popierał Mazowieckiego, ja walczyłem o Wałęsę. Kiedy on wsparł Wałęsę podczas „nocy grubych teczek”, ja już kibicowałem Olszewskiemu. Ostatecznie podzielił nas rozpad PO-PiS-u... Wyglądało, że i tym razem wybrał lepiej ode mnie. Aliści...

Chociaż nazwisko „Marcin Jędras” figurowało na wyniesionej z Instytutu Pamięci Narodowej „liście Wildsteina”, mógł to jeszcze ignorować, gadając: „A mało to Jędrasów po świecie chodzi”. Kiedy jednak pojawiły się ciekawe dokumenty w „Biuletynie IPN-u”, poświęcające jednoznacznie rolę TW „Literata 2”, kiedy napisała o nim artykuł Joanna Siedlecka, a później na temat jego agenturalnej działalności zagranicznej w latach od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego do osiemdziesiątego dziewiątego dołożył swoje pięć groszy Sławomir Cenckiewicz – Marcin zniknął z publikatorów. Powiadają, że objął jakąś nieantenową posadkę w telewizji TKN oraz trafił jako doradca kulturalny na dwór jednego z najbogatszych Polaków... W każdym razie z głodu nie umierał!

Z tym że to nie był już ten wypasiony Jędras z dawnych lat. Jego trzecia żona, luksusowa blondynka jakby wycięta z okładek „Vogue’a” (który przeleżał się z miesiąc u fryzjera), rzuciła go, obdzierając bezlitośnie z trzech czwartych majątku. Dzieci z poprzednich małżeństw zostały na Zachodzie. Wysiadło zdrowie.

Musiło być z nim źle, skoro ostatnimi czasy przypomniał sobie o bracie. Życzenia mi przysyłał, na Wigilię się wprosił. Ba, w „Wysokich Obcasach” opublikował nawet artykuł pod tytułem *Całe życie w cieniu brata*. Sugerował w nim, że zawsze byłem jego mistrzem i mentorem, i nawet Nagroda Nike, którą jakiś czas temu dostał, właściwie mnie się należała. Gdybyż na tym zakończył... Niestety, pojawiło się ostatnie zdanie, jak twierdził

„dopisane przez jakąś redakcyjną mendę”: „Powiadają, że w życiu każdego świętego pojawia się w końcu okres ciemny, czas zwątpienia, kuszenia, utraty wiary, a niekiedy otwartej służby diabłu – w przypadku mego wielkiego brata było to fatalne zauroczenie braćmi Kaczyńskimi i obłądną ideą faszystowskiej Czwartej Rzeczypospolitej. Jednak ufam, że brat mój ukochany, niczym Matka Teresa i jej podobni giganci Kościoła, po mrocznym czasie pobłądzenia doczeka wschodu słońca i rozbłyśnie w Panteonie Polskiej Literatury”.

Nieźle, co? W końcu jego komplementy zawarte w części pierwszej, dla człowieka, który w wolnej Polsce z trudem utrzymywał się na powierzchni, publikując w niskonakładowych czasopismach recenzje o filmach, których nikt nigdy nie oglądał, bez szans na przekłady i tantiemy autorskie, i tak były czymś nadzwyczaj przyjemnym. Inna sprawa, że telefon, który otrzymałem tamtego ciepłego popołudnia, dowodził, że tak zupełnie anonimowy nie jestem.

– Pan jesteś kryształ, diament samorodny, panie Marciński! – kadził mi rozmówca, przedstawiający się jako Bronisław Beton-Baton. – Więcej takich, a mielibyśmy tu nie tylko Czwartą, ale i Piątą Rzeczpospolitą, o Szóstej nie wspominając, kurczę pieczone w pysk.

Nieprzywykły do takich superlatyw zapytałem, o co chodzi.

– O prawdę, panie Jędrzejku, jeśli mogę tak pana nazywać.

– Może pan.

– O samą prawdę, czystą prawdę i tylko prawdę! – powtórzył raz jeszcze.

– A konkretnie?

– To nie jest rozmowa na telefon. Odwiedź mnie pan w mojej leśnej samotni, to pogadamy. Nie pożałujesz pan. Oj, nie pożałujesz, a słyszałem, że pańska kondycja finansowa jest wysoce niezadowolająca.

Trafił mnie w czuły punkt. Wydatki związane z opieką nad chorą mamą (na starość przypomniała sobie o „ukochanym syneczku”) i koszty jej pogrzebu (dla Marcina było to zbyt bolesne, żeby się tym zajmować, a zwłaszcza płacić) pochłonęły moje ostatnie oszczędności. W „Tygodniku Republikańskim” z honorariami zalegano mi już trzeci rok. W telewizji „Victoria”, gdzie miałem swoje filmowe okienko, taktownie nigdy nie obrażano mnie propozycją wynagrodzeń. A wydawnictwo? Cóż, pół nakładu moich

ostatnich trzech książek, których nie dało się sprzedać ze względu na opór Empików i milczenie nawet zaprzyjaźnionych recenzentów, leżało w mojej piwnicy, a drugie pół na strychu.

– Niczego nie mogę obiecać... – zacząłem niepewnie, zastanawiając się, o jakiej zaliczce mógłbym myśleć.

– Od obietnic cacanek to jestem ja. Zaręczam, że będzie pan mile zaskoczony moją ofertą. A póki co, chyba może pan niezobowiązująco odwiedzić starego kłusownika w jego pieleszach?

– Gdzie konkretnie?

– Słyszał pan przypadkiem o Puszczy Białowieszczańskiej?

– Każde dziecko słyszało.

– Czerwony Kapturek też słyszał, ale nie widział, póki go wilkiem nie poszczułem – zachichotał radośnie. – Więc zrobimy tak. Wsiądzie pan jutro na Warszawie Wschodniej o 8.28 do pociągu.

– Do jakiej miejscowości mam kupić bilet?

– O to się nie kłopotz. Żadnych biletów! Pociąg będzie o 8.28, z peronu czwartego! Wsiądziesz w Chojnówce, a ja cię już tam odbiorę.

– A może przynajmniej podać mi pan, na wszelki wypadek, numer swojego telefonu?

– Nie mogę.

– Jak to?

– Bo nie mam telefonu.

– To jak pan dzwoni?

– Sposobem, kurczę pieczone w pysk – rzucił energicznie i się rozłączył.

Nie wiedziałem, co o tym myśleć, a kiedy sprawdziłem w pamięci telefonu i zobaczyłem, że nikt do mnie nie dzwonił przez ostatni kwadrans, skłonny byłem uwierzyć, że wszystko to mi się przyśniło.

Dopiero wychodząc z mieszkania, znalazłem na podłodze karteluch z nabazgranym tekstem: „Wschodni, peron IV. Nie kupuj pan przypadkiem żadnego biletu, w pysk!”.

Nie należę do ludzi wskakujących do basenu, nie sprawdziwszy, czy jest w nim woda. O Bronisławie Betonie-Batonie nie byłem w stanie niczego się dowiedzieć. Nie figurował w Wikipedii, a z życiorysu mego brata w tajemniczy sposób zniknęły jakiegokolwiek notki dotyczące *Zapisków kłusownika*.

Wyglądało, że nikt nigdy ich nie napisał. W tym momencie przypomniałem sobie, że kiedyś dostawaśy od Marcina „wydanie drugie poprawione”, ci-
snałem broszurę na pawlaczu. Wspiąłem się tam, ale nie znalazłem niczego
oprócz kurzu. Co u licha?!

Postanowiłem zasięgnąć języka u samego źródła. Była środa, wczesne
czerwcowe popołudnie, a więc mój braciszek powinien znajdować się na
polu golfowym pod Jabłonną.

Nie pomyliłem się. Marcina Jędrasa zastałem przy piątym dołku. Ucie-
szył się niebywale na mój widok, ale zaraz sposepniał, dowiedziawszy się
o moim zaproszeniu do pana Batona i jego ofercie pracy dla mnie.

- Wypadłem z gry - westchnął boleśnie. - Już mu nie jestem przydat-
ny. Oto jest wdzięczność.

- Wybacz mi, ale niczego nie rozumiem. Kim jest ten gość?

- Kim jest? Łatwiej byłoby powiedzieć, kim nie jest. Czytałeś moje *Za-
piski kłusownika*? Wysyłałem ci...

- Nie czytałem. Chyba ktoś mi ukradł...

- To i lepiej. Nie będziesz się niczym sugerować. Spisywałem jego
wspomnienia. Tyle że w koszmarnych latach PRL-u można było pisać jedy-
nie o łowiectwie, czy przygodach wędkarskich, a ten człowiek to kopalnia
tematów, sezam z tajemnicami, puszka z Pandorą...

- Możesz jaśniej. W Wikipedii go nie znalazłem.

- W Wielkiej Sowieckiej Encyklopedii też go nie ma. Choć powinien
być! Słuchaj - rzucił okiem na wypasionego roleksa na przegubie - może
poszlibyśmy na obiad? Mam tu zniżkę klubową. Lepiej gada się przy pie-
czystych.

Odgadł moje myśli, a może usłyszał, jak mi w brzuchu burczy, bo fak-
tycznie przyjechałem tu bez śniadania. Siedliśmy w gustownym pawilonie.
Zamówiliśmy - ja tatar a barszcz z pasztecikiem, a mój brat na przystawkę
ośmiorniczki, potem zupę z żółwia w kokilce z truflami, a jako danie głów-
ne krwistą polędwicę ze szparagami, na deser zaś pływające lody, a wszystko
to popił dwoma butelkami czerwonego wina. Ja umoczyłem ledwie usta.
Prowadziłem przecież samochód, a na Modlińskiej widziałem dwa radio-
wozy kręcące się jak sępy w poszukiwaniu swych ofiar. Już po pierwszym
kieliszku Marcin przeszedł do rzeczy.



- W zasadzie wiadomo mi o nim tylko tyle, co sam mówi.
- Jak to?
- Nigdy nie widziałem jego dokumentów ani niczego podobnego.
- Ale przecież musiały gdzieś kiedyś się urodzić?
- Pięć lat zajęło mi ustalenie tych tak prostych faktów. A i tak pewien niczego nie jestem.
- No ale ile ma lat? To chyba wiesz.
- Nie do końca, opowiadał na przykład, że jako siedemnastolatek brał udział w przewrocie w Piotrogradzie, a nawet uczestniczył w nabijaniu armat Aurory.
- Niemożliwe, musiałyby mieć dziś ponad sto dziesięć lat. A głos, który słyszałem w telefonie, aż tak stary nie był.
- Sporo czasu minęło, zanim zwierzył mi się, jak do tego doszło. Oczywiście zastrzegł, że to nie do druku. Choć może dzisiaj zmienił zdanie.
- Zamieniam się w słuch.
- Twierdzi, że urodził się w Odessie jako syn krawca Lejby Rozenkranca w niespokojną zimową noc przełomu stuleci. Początkowo nazywał się Mordechaj, zdrobniale Mordka, ale szybko zmienił imię na Bronisław. O swych przygodach sam ci opowie, ja zajmę się jego wiekiem.
- Z tego, co wspominałeś, powinien mieć sto piętnaście lat!
- Zaraz, zaraz, jeszcze nie skończyłem. Wedle jednej z wielu wersji, w latach trzydziestych pracował jako ochroniarz w słynnej klinice profesora Pawłowa. Czasy były ciężkie, głód, toteż w najgorszym momencie pozostało ich tam tylko trzech.
- To znaczy?
- Profesor Pawłow, Bronisław i pies. A jedzenia w ogóle mieli tyle, co przydzielano na eksperymenty.
- Wiem, że ze ślinieniem się i dzwoniem. Odruchy warunkowe!
- To nic nie wiesz. Pawłowa pod groźbą wywózki do łagru zmuszono, by prowadził mnóstwo dodatkowych badań. Między innymi, na osobiste zamówienie towarzysza Stalina, poszukiwał leku na starzenie się. Dżugaszwili chciał być „wiecznie żywy”, ale w innym sensie niż Uljanow. I podobno profesorowi udało się osiągnąć cel. No, prawie! Opracował preparat z udziałem środków promieniotwórczych, dzięki któremu odwracał się cały proces ży-

ciowy i w miesiąc dorosły pies stawał się szczeniakiem. Niestety, wiecznie głodny Bronisław któregoś razu dorwał się do spreparowanej już karmy i zjadł wszystko. Z nerwów profesor dostał wylewu, a Bronek cofnął się do wieku sześciolatniego malczyka. Stąd jego druga data urodzenia tysiąc dziewięćset trzydzieści. I tej kazał mi się trzymać jako oficjalnej.

- Rozumiem.

- Nic nie rozumiesz. Wedle jeszcze innej wersji, którą mi podał jakiś czas później, i która brzmi znacznie prawdopodobniej, był jedynie synem Mordechaja (vel Bronisława seniora)...

- Z nieprawego łoża?

- Przeciwnie, z najprawszego, jakie można sobie wyobrazić! Opowiadał mi w stanie lekkiego upojenia alkoholowego, że jest wnukiem samego Mikołaja II. Choć potem wyrwał kartki z mego notesu i je zjadł.

- Co ty gadasz? Jak miałoby to być możliwe?

- Tata Mordechaj w czasie rewolucji służył w ekipie czekisty Jurowskiego przeprowadzającej egzekucję carskiej rodziny w domu kupca Ipatiewa w Jekaterynburgu. Robota jak robota. Służba nie druźba! Ale serce nie sługa, spodobała mu się carewna Anastazja i postanowił ją ocalić. W szaty dworskie przebrał podobną do niej praczkę Praskowię, podstawił do piwnicy, w której odbywała się egzekucja, a samą księżniczkę wywiózł razem z brudną bielizną.

- A to cwaniak!

- Nie do końca. Carewna Anastazja okazała się cwańsza od niego. Przy pierwszej okazji mu prysnęła...

- Opuściła swego wybawcę? Jak mogła?

- Wiesz, jacy byli ci Romanowowie. Antysemici! Defekt Mordechaja sprawiał, że przyzwoitość nie pozwalała carewnie na miłość oralną, którą z innymi uwielbiała. Mordka dziesięć lat jej szukał... Znalazł bodajże w Hiszpanii, dostarczył do Sojuza, poślubił, no i Bronek ponoć jest owocem tych poszukiwań.

- A księżniczka Anastazja jaką okazała się matką?

- Sam go pytaj. Ja więcej nie wiem. I nie chcę wiedzieć! Dowiedziałem się jedynie, że gdy podrósł, służył w najrozmaitszych formacjach sowieckich i polskich, działał w siłach specjalnych, zna najtajniejsze sekrety wła-



dzy... Od tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego czy szóstego przebywał w Polsce jako pop.

– Duchowny?

– Jako „pełniący obowiązki Polaka”, tak się wtedy określało sowieckich doradców przy rządzie PRL-u.

– I myślisz, że mi o tym wszystkim opowie?

– A w jakim innym celu wzywałby do siebie literata? Jedni robiąc rachunek z życiem, potrzebują księdza, a inni z tak rozwiniętym ego jak on – biografa.

– No to mógł poprosić ciebie. Ty jesteś renomowanym autorem. Pracowałeś już z nim. Spisywałeś wspominki łowieckie...

– Ech, braciszku. On myśli o potomności na kilka pokoleń naprzód. Potrzebuje kogoś uczciwego o nieposzlakowanej opinii, a ja się do tego nie nadaję.

Przynieśli rachunek. Zerknąłem na cenę – dziewięćset siedemdziesiąt osiem złotych. Marcin wyciągnął czerwony długopis, przekreślił sumę i wpisał w zaokrągleniu pięćset złotych.

– Mam tu pięćdziesięcioprocentową ulgę! – powiedział z szerokim uśmiechem. – Więc jak zapłacisz te pięćset, to będzie tak, jakbyś płacił tylko za siebie.

Zapłaciłem.

* * *

Według rozkładu jazdy z peronu czwartego dworca Warszawa Wschodnia o godzinie 8.28 nie odchodził żaden pociąg, ani na wschód, ani na zachód. Owszem pod godziną 7.51 widniał przyspieszony z Bogatyni do Suwałk, a o 9.02 osobowy ze Świnoujścia do Sanoka... Dobre kilkanaście minut kręciłem się, nie wiedząc, co począć. Dlaczego w ogóle zdecydowałem się jechać? Że nie miałem ciekawszych propozycji? Że interesowało mnie spotkanie z człowiekiem legendą? Że wreszcie z nieujawnionego konta wpłynęło na mój rachunek osobisty dziesięć tysięcy złotych z dopiskiem „koszty podróży”, a ja nie miałem komu ich zwrócić? W dodatku wyjeżdżałem kompletnie na wariata. Trzykrotna próba skontaktowania się z naczelnym nie powiodła

się. „Abonent chwilowo niedostępny”. A Beata? Trzeba trafu, że z moją „narczoną na przychodne” mieliśmy ciche dni, więc poprzestałem na SMS-ie, że wyjeżdżam na krótko.

„Opóźniony pociąg przyśpieszony do Suwałk wjedzie na tor przy peronie czwartym” – nieoczekiwanie rozległo się z głośnika. I po chwili dotarł do mnie łomot kół. Rzuciłem okiem na zegarek, była dokładnie 8.28. W moim mózgu zazgrzytał wielki pytajnik: „Skąd Baton mógł wiedzieć o opóźnieniu?”. Moja podróż dopiero się zaczynała. W życiu nie jechałem na gapę, i była to sytuacja wybitnie niekomfortowa. Atoli pouczenie mego brata brzmiało: „Jeśli nie chcesz zadzierać z Batonem, stosuj się ściśle do jego poleceń”, więc postanowiłem je respektować.

Jednak kiedy otworzyły się drzwi i wszedł do przedziału konduktor, serce podskoczyło mi do gardła. Kolejarz sprawdził skrupulatnie wszystkim bilety, ale kiedy chciałem sięgnąć po portfel, powstrzymał mnie gestem ręki.

– Później – powiedział.

Sytuacja powtórzyła się, kiedy zajrzał, by sprawdzić bilety, rewizor. Porderwałem się z ławki:

– Chciałem wyjaśnić...

– Później!

Identycznie zareagował kierownik pociągu.

– Później!

Co u licha, czy oni wszyscy byli w zмовie z jakimś stupełnastoletnim staruszkim?

Tymczasem zaniepokoiło mnie co innego. Od momentu opuszczenia Warszawy pociąg nie zatrzymał się ani razu.

– Przepraszam bardzo – zwróciłem się do zażywnej niewiasty w chustce – nie orientuje się pani przypadkiem, kiedy będzie Chojnówka?

Popatrzyła na mnie wzrokiem, jakbym zapytał ją o pogłowie zielonych ludzików w Roswell i pokręciła głową. Siedzący obok mnie młodzieniec ukrył nos w gazecie. Dziewczyna z naprzeciwka zachichotała głupkowato, a ksiądz przytknął palec do ust.

Tymczasem pociąg zagłębił się w lasy gęste, zda się dziewicze. Niebawem ujrzałem dwóch młodzieńców o mętnym spojrzeniu idących korytarem. Szarpnięciem otworzyli drzwi do naszego przedziału.

– Kto pytał się o Chojnówkę? – rzucił wyższy.

Ksiądz, a może ktoś tylko za księdza przebrany, wskazał na mnie.

– Chono z nami, koleś! – warknął ten wyższy.

Jako intelektualista z urodzenia mam wrodzony wstręt do przemocy fizycznej. Zresztą stawianie oporu dwóm dryblasom wydawało mi się niewskazane. Wyprowadzili mnie na korytarz i popychając przyjacielsko, podprowadzili pod kibel. Potem jeden otworzył drzwi, a drugi szarpnął za hamulec bezpieczeństwa. Pociąg zwolnił, ale dość nieznacznie. To jednak im wystarczyło. Kopniak w plecy wypchnął mnie z wagonu. Upadłem prosto w rów wilgotny nieco, ale miękkiej, wonny roślinnością i kwieciami, z niewielkim dodatkiem moczu i olei ciężkich. Skład oddalił się z hukiem, a ja z trudem uniosłem się najpierw na kolana, potem na równe nogi. Zmacałem okulary, które mi spadły, i nasadziłem je na nos. Zaraz ujrzałem stacyjkę małą, drewnianą i napis wielkimi czarnymi literami – „Chojnówka”.

Doszedłem do budynku, rozglądając się za obiecaną podwodą, ale jedyny samochód w zasięgu wzroku od dawna nie miał kół, a także okien, i stał na ceglach jak monument jakiejś dawno minionej epoki. W promieniu paruset metrów nie zauważyłem żadnego powozu ani furmanki. W ogóle nie było też żywej duszy, jeśli nie liczyć gościa – ewidentnego menela drzemiącego na ławce. Ale „koniec języka za przewodnika”. Zbliżyłem się do tego żywego kłębaka szmat.

– Proszę pana... – zacząłem grzecznie.

Uniósł brodaty łeb doktora Wilczura trzeciej świeżości i rzekł:

– Witaj pan, panie Marciński. Czeka tu, czekam, aż mnie zmogło. Kurczę pieczone w pysk!

– Pan Baton? – nie dowierzałem własnym oczom.

– A któż by inny? – zarechotał. – Mógłbym wysłać kogoś, ale nie godzi się z pośrednictwem umyślnych podejmować tak równie znakomitego gościa. No, ale jedziemy!

– Jedziemy? – rozejrzałem się za jakimkolwiek pojazdem. – Ale czym?

– Rowerem! – zawołał radośnie, podnosząc z ziemi wiekowy tandem.

– W tych okolicach to jedyny pewny środek lokomocji.

W jego ustach słowo rower zabrzmiało oczywiście jak „jowej”, ale oszczędzę czytelnikom oryginalnej transkrypcji. Ograniczę się do stwier-

dzenia, że pan Bronisław nie wymawiał litery „r”. Oryginalnie by to brzmiało: „No! Juszajmy, panie Marciński”.

To powiedziawszy, uśmiechnął się do mnie chytrze i wyciągnął z kieszeni czarną opaskę.

– Pan wybaczy, ale będę musiał zasłonić panu oczy – rzekł. – Takie są reguły. Nikt nie wie, gdzie ja mieszkam. I niech tak zostanie.

– Mam jechać w zasłoniętych oczach na rowerze?! – zaprotestowałem. – Zabiję się.

– Spokojna głowa, to przecież tandem. Na raz, przyciskasz pedał, na stop – nogi z pedału. Ot, i cała filozofia, w pysk!

Filozofia może w tym jakaś była, ale spróbujcie jechać godzinę, albo i dwie na tandemie, z związanymi oczami, po wyboistych ścieżkach. Ze sto razy zakręciło mi się w głowie, a w pewnym momencie omal nie zwymiotowałem na szerokie plecy Batona.

– Nie przejmuj się pan, panie Marciński – pocieszał mnie pan Bronisław. – „Początki zawsze są trudne”, jak mawiał major Smith, odgryzając czubek cygara Fidelowi Castro.

Parokrotnie usiłowałem leciutko podważyć opaskę i rzucić okiem na okolicę, ale za każdym razem, kiedy podejmowałem taki wysiłek, gdzieś z boku rozlegało się złowrogie warczenie.

– Nie podglądaj pan, panie Marciński, bo będzie kara.

– Co pan, niczego nie podglądam. Zresztą jeśli nawet przypadkiem mi się trochę zsunęło, to nie może pan tego widzieć!

– Ale mój pies Piorun widzi!

Wreszcie skrzypiący wehikuł się zatrzymał. Zdjąłem opaskę. Pierwszą rzeczą, na której zatrzymał się mój wzrok, była wkopana w ziemię tabliczka z napisem „Strefa niezdekomunizowana”. „No nieźle!” – pomyślałem.

– Moja posesja nie należy do strefy Schengen! – pochwalił się Bato.

Pozwoliłem sobie rzucić wzrokiem za siebie i zaraz zobaczyłem solidną bramę i wysoki płot zwieńczony podwójną liną drutów, przy których emaliowane izolatory wskazywały, że mogą być pod napięciem...

Drugim obiektem, który rzucił się w moje oczy, był Piorun. Niezbyt wielki kundel o brzydkich oczach i silnej szczęce. Ot ratler, który z racji przerośniętego ego postanowił zostać pitbullem.

– Nie lekceważ go pan! – pouczył mnie gospodarz. – Bo sobie to zapamięta.

– Taki groźny?

– A żebyś pan wiedział. Na jego widok pies Baskervillów ucieka do myśiej nory!

– Nawet nie szczeknął...

– Bo odczytał go żem. Bez ostrzeżenia rzuca się do gardła. Mamy zademonstrować?

– Nie, dziękuję.

– I słusznie. Z Piorunkiem żartów nie ma. Kiedyś idziemy przez puszcę, a ja rzucam dla żartów „aport!”. Ponieważ nikogo innego dookoła nie było, dzika mi przyaportował, zagryzłszy go uprzednio. W pysk!

Za tabliczką wypatrzyłem domostwo, doskonale ukryte w dzikim winie. Na pierwszy rzut oka była to najnędzniejsza ludzka sadyba, jaką zdarzyło mi się oglądać. Na drugi też, ale na trzeci...

Baton za pomocą pilota rozbroił alarmy, unieruchomił wilcze doły i inne zlokalizowane przy wejściu pułapki, gotowe intruza pochłonąć, poszarpać, zdekapitować lub wysłać w kosmos, i zaprosił do wnętrza. Pierwsze drzwi, dziurawe, zbite z niechlujnych dech, nie wzbudzały szacunku, drugie – stalowe wydawały się zdecydowanie solidniejsze, a za trzecimi z bordowego palisandru ukrywało się wnętrze zupełnie z innej bajki.

Zatkało mnie! Co będę kłamać, znalazłem się w prawdziwym pałacu, wypełnionym stylowymi mebelkami (co prawda każdy z innej epoki), ale z pewnością wartymi majątek. Centralnie rozpościerało się spore marmurowe patio z bijącą fontanną, a przy nim przechadzały się dwa pawie. Jak później zauważyłem, cały obiekt musiał być niewidoczny nawet z kosmosu, bo nakryty został siatką maskującą. Dookoła wirydarza ciągnęły się galerie i mnóstwo pokojów, pełnych sreber, obrazów, starych zegarów i wszelakiej broni. W jednym z pomieszczeń moją uwagę przykuł obraz przypominający do złudzenia zaginiony *Portret młodzieńca* Rafaela, natomiast drzwi do toalety pokrywały bursztynowe reliefy przywodzące na myśl słynną komnatę z Carskiego Sioła.

Baton zauważył moje zainteresowanie.

– Oryginały – powiedział z dumą. – Trofiejne!

- Przy wejściu do ogródka zobaczyłem jeszcze słynną bezręką Wenus.
- To też oryginał? – zakpiłem.
 - A jak pan myśli? Ci w Luwrze muszą się zadowalać duplikatem.
 - Ale skąd pan to ma...?
 - Gdyby te szedewry umiały mówić... – rozmarzył się Baton. – To bym musiał je zastrzelić, żeby nie kłapały językiem.
 - No ale jeśli to naprawdę Wenus z Milo...?
 - O niej to mogę panu powiedzieć. Jeden z moich mentorów, niejaki Stirlitz, wygrał ją uczciwie w karty od marszałka Göringa. Znaczący obaj szulerzyli, z tym że Max okazał się w tym lepszy. Przegrana straszliwie Hermanną zdenerwowała, wyciągnęła spluwę, zaczął strzelać do naszego agenta, ale po kokainie nie mógł trafić, więc tylko rzeźbie łapska poobtrącał.
 - To ta Wenus miała ręce?
 - A co miała nie mieć, obie!
 - Teraz rozumiem pańską ostrożność – powiedziałem. – Posiadając taką kolekcję, nie może pan wpuszczać byle kogo.
 - Kolekcję to mieli państwo Superczyńscy, zanim jej państwu nie wtrynili, a ja mam jedynie kilka bliskich sercu pamiątek. A złodziejów się nie boję, bo żaden by się nie odważył ze mną zadrzeć.
 - W takim razie po co ta kryjówka?
- Odpowiedział dopiero po chwili pauzy.
- Wie pan, co jest najcenniejsze, panie Marciński, we współczesnym świecie?
 - Nie mam pojęcia, ropa?
 - Wiedza, panie Jędrzejku, wiedza. Gdybym chciał zrobić użytek z mojej... Ho, ho, ho...! Od lat próbują robić pode mnie podchody, a to CIA, a to Mossad, rok temu musiałem ze stawu południowego wyciągać agenta Koreańczyka, bo się topił...
 - Południowego?
 - Staw był południowy, ale Koreańczyk jak najbardziej północny.
- W pysk!
- Nie są pewni pańskiej dyskrecji? – dopytywałem.
 - Dyskrecja to jedno, a posiadane przeze mnie dane, to drugie. Wie pan, ile mi dawano za prawdziwą, kenijską metrykę Obamy, albo za dyplom ma-

gisterski Olka Kwaśniewskiego z Akademii w Bałaszysze, nie mówiąc już o zobowiązaniu do współpracy ciotki Angeli... Ale rozumiem, że chce pan jak najszybciej przejść do rzeczy.

– Skoro pan nalega.

– No to proszę chwilę zaczekać, ja się tylko trochę ogarnę, bo w charakteryzacji z gościem gadać nie będę. I proszę niczego mi nie dotyczyć, bo się Piorunek zdenerwuje.

Popatrzyłem na psa, pies popatrzył na mnie. Oczka zapaliły mu się na czerwono, a paskudny pysk zdawał się mówić: „Tylko spróbuj”.

Pan Bronisław wrócił po kwadransie. Prawie go nie poznałem. Znikły zarost, włosy w strąkach i gigantyczny brzuch. Teraz wyglądał mniej więcej jak aktor Kirk Douglas. Różniły ich jedynie wzrost (powiedzieć niski krępy w jego przypadku zabrzmiałoby jak komplement), pałkowate nogi i dykcja. Później dowiedziałem się, że Beton-Baton jako wyborowy agent potrafi upodobnić się do kogo chce i w trakcie wojny o Falklandy trzy dni buszował po Londynie, udając sobowtórkę Margaret Thatcher.

Na powitanie zaproponował nalewkę własnej produkcji, pędzoną, jak twierdził, na kwiatkach paproci, po czym zalegliśmy w fotelach, on w Ludwiku XV, ja w Ludwiku Filipie.

– Rozumiem, że wie pan, po co go tu ściągnąłem? – zagał gospodarz.
– Brat chyba pana uświadomił. „Cholerka – pomyślałem – skąd wie, że gadałem na jego temat z Marcinem?”

– Nie tylko wiem, żeś gadał, ale nawet coś gadał – wydawał się czytać w moich myślach. Potem pstryknął jakimś przełącznikiem i rozległ się głos mego brata: „A w jakim innym celu wzywałby do siebie literata? Jedni robiąc rozrachunek z życiem, potrzebują księdza, a inni z tak rozwiniętym jak on ego – biografą”.

Wyłączył nagranie i z zadowoleniem przyglądał się mej osłupiałej minie.

– Kelnerzy! – wyjaśnił bez dodatkowych pytań. – Nagrywają teraz wszystko, jak leci i sprzedają komu popadnie. Na szczęście staremu Batonowi przysługuje prawo pierwokupu. No więc, wie pan, o co chodzi – chcę, żeby powstała moja *Autobiografia*. Prawdziwa, od razu wydanie trzecie,

poprawione. Wchodzisz pan w interes, to spisujemy umowę. Dla pewności krwią. Na czerpanym papierze.

- A jak nie wchodzę? - zapytałem.

- No to wychodzisz. Tyle że... - zawiesił głos - jest późno, droga nieznana, puszcza niebezpieczna. To i owo może się przytrafić.

Poczułem gorący oddech na karku, ale był to tylko Piorun, który wsparł się na dwóch łapach na moim fotelu, niepokojąco blisko mego gardła. Zrobiło mi się nieprzyjemnie.

- Tylko jaką mam gwarancję, że nic mi się nie przydarzy już po ukończeniu dzieła?

- Masz pan moje słowo honoru! - powiedział dobitnie. - Zresztą to nie będzie tak prędko. Mamy wspomnień do spisywania na lata, a wydawnictwo gotowe jest podpisać umowę, podobną jak z Mietkiem Rakowskim, od razu na dziesięć tomów. Ze swej strony zapewnię tu panu idealne warunki do pracy - cisza, spokój, pełna izolacja...

Ostatnie stwierdzenie nieco mnie zaniepokoiło.

- Czy to znaczy, że przez cały czas pisania nie będę mógł stąd wyjść?

- Samemu? A po co? Będziesz pan chciał się zrelaksować, mój przyjaciel Wołodia przysła samolot, polecimy na Krym, a jak tam dla pana za gorąco, to nad Kołymę. Co dusza zapagnie - białe noce albo białe niedźwiedzie!

Byłem cokolwiek przerażony, ale postanowiłem nie tracić resztek godności i zmieniłem temat.

- Nie mówiliśmy w ogóle o honorarium.

- A co tu mówić? Ja będę pracował dla własnej nieśmiertelności, pan dla sławy.

- Bez pieniędzy?

- A kto mówi, że bez? Zaliczkę pan dostał, a potem podzielimy się honorariami. Pan weźmiesz... - chwilę wydawał się coś przeliczać w myślach - powiedzmy, niech stracę, dziesięć procent zysków.

- Wykluczone! - zaprotestowałem. - Muszę mieć co najmniej pięćdziesiąt procent.

- Rozbój na równej drodze - jęknął. - Dwadzieścia procent. To moje ostatnie słowo.

– Czterdzieści!

Stańło na trzydziestu trzech i trzech dziesiątych. Chociaż byłem dziwnie spokojny, że i tak ich nigdy nie zobaczę.

– Wpływy pójdą wprost do banku w Lichtensteinie – tłumaczył Baton.
– Wolałbym na Kajmanach, ale to globalne ocieplenie... Nie można ryzykować, że pewnego dnia szmal nam się po prostu nie utopi.

Potem zaprosił mnie do „pokoju operacyjnego”. Myślałem, że żartuje lub używa nazwy na wyrost, ale piwniczki pod domem nie powstydzilyby się niejedna tajna służba. Kilkanaście monitorów, pulpity niejasnego przeznaczenia, wreszcie dwa obrotowe fotele, które zajęliśmy. Baton za pomocą pilota przywołał przedstawicielkę wydawnictwa „Koszt i Spółka”, która pojawiła się w postaci hologramu i stanęła między nami.

Podpisanie umowy zajęło nam parę minut, a pan Bronisław zdążył jeszcze uszczypnąć ją w kształtną, choć wirtualną pupę. Nie czytałem dokładnie tego, co podpisywałem, ale wydaje mi się, że zrzekłem się wszelkich roszczeń i praw. Jedynym punktem, który oprotestowałem, była zgoda, aby w razie czego Baton po mnie wszystko dziedziczył.

– W porządku, nie nalegam – ozwał się mój współautor. – Ale czy to takie rozsądne? Wiem, że nie masz, panie Marciński, żadnego potomstwa, z żoną się rozwiodłeś, ergo jakby coś się przydarzyło, wszystko dziedziczy po tobie ta szuja Jędras!

– Mogę się jeszcze ożenić i mieć dzieci – obstawałem przy swoim.

– Wiem, wiem, ale twoja Beatka – tu mnie kompletnie zaskoczył – po operacji jajników niczego ci nie urodzi. Oczywiście jeśli nalegasz, to w porządku, nie było tego punktu! Wykreślamy!

Umowę podpisaliśmy, hologram dziewczyny zniknęła, dokumenty zresztą razem z nim. Czuję się porządnie zmęczony, więc zapytałem, czy mogę iść do mojego pokoju się zdrzemnąć.

– Oczywiście, oczywiście, proszę tylko nie zapomnieć o zaproszeniu na kolację. Piorun zaprowadzi.

Nie spodziewałem się łoża z baldachimem i pompejańskiej łazienki, ale przynajmniej standardu służbówki, odpowiadającej reszcie domostwa... Pierwszym zaskoczeniem było, że pies wyprowadził mnie na zewnątrz budynku, szedł pół kroku przede mną, a kiedy tylko próbowa-



łem się zatrzymać, odwracał się i tarmosił za nogawkę. Tak doszliśmy do ziemianki na skraju zagajnika, wkopanej w ziemię budy, składającej się z pozbawionej okien izdebki, kibla, łóżka i małego telewizora z odtwarzaczem DVD.

– Tu mam mieszkać!? – zachnąłem się.

– A co? Spodziewałeś się rokokowych mebelków, jacuzzi i perskiego dywanu?! – zdawały się odpowiadać przekrwione oczy cerbera.

II.

Pierwsze dni

Załamywanie rąk nigdy nie należało do moich specjalności. Nawet w sytuacjach beznadziejnych, jak wtedy w stanie wojennym, kiedy wyrzucano mnie ze szkoły i pozbawiono możliwości uprawiania belferki, do której, jak się okazało, nie miałem już nigdy powrócić, potrafiłem realnie określić sytuację. Wystarczyło dokonać bilansu, a potem znaleźć rozwiązanie, choćby doraźne, jak praca u kuzyna, który miał małą manufakturę „biżuterii z plastyku”.

Tak i teraz od pierwszej chwili głowę zaprzętała mi jedna myśl – jak dać stąd drapaką? Miałem nadzieję, że nie okaże się to zbyt trudne. Owszem, popełniłem błąd, dałem się zwabić na to odludzie. W dodatku nie powiedziałem nikomu poza bratem, dokąd się udaję. Zresztą komu miałem się zwierzyć? Jak już wspomniałem, do naczelnego się nie dodzwoniłem, a kochanki nie wtajemniczałem... A była żona? Joanna od lat mieszkała w Londynie i nie utrzymywała ze mną żadnych kontaktów. Co do Jędrasa nie miałem żadnych złudzeń. Nawet gdyby dotarła do niego wiadomość o moim zniknięciu, przy swoim życiowym relatywizmie i wygodnictwie nie stuknąłby palcem o palec, by mnie ratować.

Dlatego kiedy tylko zamknęły się za mną drzwi ziemianki, tylko przez chwilę miałem ochotę bluzgać na Batona, czy na własną łatwowierność. Natychmiast spróbowałem trzeźwej refleksji. Owszem, znalazłem się na odludziu, nikt nie wiedział, gdzie jestem. Ale na Boga! Żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku, w kraju wprawdzie źle rządzonej, ale jednak cywilizowanym, gdzie dorosły człowiek nie może tak po prostu zniknąć.

Prędzej czy później ktoś zainteresuje się jego losem. Nawet jeśli tym kimś miałby się okazać Urząd Skarbowy. Zresztą – myślałem – Baton nie jest aż taki sprytny, za jakiego się podaje. Nie poddał mnie osobistej rewizji, nie odebrał komórki i przegapił schowany w teczce laptop, który szczęśliwie przeżył upadek z pędzącego pociągu.

Sięgnąłem do kieszeni, i przeżyłem pierwsze rozczarowanie. Na ekranie mojej Nokii widać było jak byk „brak zasięgu”. Nie wiedziałem, że są jeszcze takie rejony Polski, które przegapili operatorzy telefonii mobilnej. Mój laptop co prawda działał, ale próba połączenia się z internetem skutkowałą jedynie żądaniem podania hasła do miejscowego Wi-Fi. Poprzysiągłem sobie, że zdobędę lub wykradnę ten kod przy pierwszej nadarzającej się okazji. Na uspokojenie przypomniałem sobie dewizę: „Inteligencja musi wygrać z siłą”. I od razu poczułem się lepiej. Potem umyłem się, chwilę jeszcze pomyślałem nad różnymi ewentualnościami ucieczki i doliczywszy się dziesięciu znakomitych patentów, pozwoliłem sobie na relaksującą drzemkę.

Do pałacu wróciłem w porze kolacji. Na grzeczne pytanie gospodarza, jak mi się podoba moje locum, odparłem zgodnie z prawdą, że to parszywa nora. Zaprotestowałem też przeciwko totalnemu odcięciu od świata.

– To skandal, żebym nie mógł, kiedy najdzie mnie ochota, wyskoczyć choćby na piwo.

– A po co panu świat? – zachnął się pan Bronisław. – Przyjechał pan pracować, a nie szlajać się po okolicznych pubach. Piwo jest w lodówce, inne trunki w barku. Po prostu pracujmy. Swojej komórki (wiedział, skubany, że ją mam schowaną) możesz pan używać jako dyktafonu. I do roboty, panie Jędrzejku! Do roboty! Możemy zaczynać od zaraz.

Wymówiłem się bólem głowy, zmęczeniem podróżą i szokiem popadkowym.

– Nie nalegam – łaskawie zgodził się Baton. – Chociaż taki piękny wieczór.

Faktycznie. Noc zapowiadała się widna, księżycowa, co sprzyjało moim planom. Byłem wypoczęty i gotowy, aby dać drapaka. Jak mniemałem, cały teren nie mógł być otoczony płotem i zasiekami, i prędzej czy później musiałem znaleźć jakąś dziurę albo ścieżkę.

Przykra niespodzianka spotkała mnie zaraz po kolacji. Baton odprowadził mnie do ziemianki i pożyczwszy mi dobrej nocy, zamknął za mną drzwi na klucz.

Zacząłem krzyczeć i walić w solidne dechy.

– Jakim prawem mnie pan więzi!? – wołałem.

– Ja pana nie więzę, tylko ochraniam – odpowiedział. – Siła dzikiego zwierza krąży po okolicy, a jednego lata widziano tu zombi.

– A jak się zacznie palić? Nie wydostanę się ze środka!

– Przecież się nie pali!

– Ale gdyby się paliło?

– Nastąpi automatyczne zwolnienie blokady zamka.

W tym momencie mogłem tylko przeklinać, że nigdy nie wciągnąłem się w palenie papierosów i nie mam zapalek. Tymczasem z zewnątrz usłyszałem krótkie: „Piorun, waruj!”. I zapadła cisza.

* * *

O ile pierwsze godziny spędzone w Budzie Polskiej (jak nazywał swoją sadybę Baton – w odróżnieniu od Budy Ruskiej, siedziby innego słynnego myśliwego – przypadkowo również Bronisława) dobrze wżarły się w moją pamięć, następne dni nie odznaczyły się niczym szczególnym. Nie udało mi się zwiedzić nawet najbliższych okolic rezydencji. Baton był dziwnie niechętny przechadzkom, nadto nalegał, by ruszać z kopyta ze wspomnieniami. Nie sprzeciwiałem się – nagrałem kilka, a może kilkanaście opowieści, które zamieszczę w dalszej części dzieła. Pan Bronisław był rozmówcą niesfornym, mówił co chciał, nie poddawał się rygorom chronologii, uwielbiał dygresje. Mimo gromadzenia materiału, z przerażeniem zastanawiałem się, jak mam ułożyć z tego sensowną całość.

Co do reszty wrażeń z pierwszych dni mej niewoli – jedzenie okazało się dość monotonne. Rano – jajka i biała kiełbasa, żądanie twarożku zbył śmiechem, że ostatnią krowę musiał zastrzelić, bo za dużo ryczała, zamiast dawać mleko. Na obiad niezmiennie była zupa, którą zapewne sam gotował, gęsta, zawieszista breja bez smaku i możliwości określenia składu przecieru. Do tego na drugie jakaś dziczyzna, własnego łowu, wiecz-

rem bigos. A przez cały dzień – do woli – smalec, ogórki kiszone i kapusta z beczki. Ciekawe, czy równie wykwinłym menu potraktował swego czasu mojego brata?

Tymczasem trzeciego dnia przy śniadaniu Baton widząc, jak kleista jajecznicza rośnie mi w ustach, powiedział znienacka:

– Jadę dziś do miasta, panie Marciński. Widzę, że jesteś pan francuski piesek, więc muszę urozmaicić panu dietę. Pod moją nieobecność nie robić niczego, przepisać to, co dotąd zostało nagrane. I nie myszkować mi po domu, kurczę pieczone, bo dam w pysk.

Tego ostatniego nie mogłem mu obiecać, chociaż, naturalnie, potulnie pokiwałem głową. „Szerokiej drogi!”

Ledwie tylko usłyszałem warkot oddalającego się gazika (a więc dla siebie miał jakiś samochód), natychmiast chciałem przystąpić do rewizji. Niestety, poza kuchnią i salonem wszystkie pomieszczenia okazały się zamknięte, podobnie jak brama na zewnątrz. Do pokonania wysokiego parkanu skutecznie zniechęcał napis: „Bacność! Wysokie napięcie!”. Kiedy już wydawało mi się, że wszelkie moje działania są skazane na niepowodzenie, w służbówce znalazłem stary, zdezelowany aparat telefoniczny na klawisze. Wtyczka pasowała do gniazdka, a po włączeniu rozległ się mocny sygnał. Niczym głos wolnego świata! Tylko do kogo należało zadzwonić? Do brata raczej nie. Do przyjaciół? Ich pomoc nie nadeszłaby prędko, zwłaszcza że nie potrafiłbym określić dokładnie, w którym miejscu Puszczy Białowieszczańskiej się znajduję, a stacyjki Chojnówka nie było na żadnej mapie.

Wystukałem uniwersalny numer alarmowy, a następnie połączyłem się z policją. „Tu policja! – odezwał się mechaniczny głos. – Chcesz zgłosić przestępstwo, wybierz jeden. W sprawie mandatów, wybierz dwa. W sprawie skarg i zażaleń, wybierz trzy”. Wybrałem jeden. I znów usłyszałem automat: „W sprawie napadu, wybierz jeden. W sprawie wypadku drogowego, wybierz dwa. W sprawie zagrożenia katastroficznego, wybierz trzy. W sprawach innych, wybierz cztery”. Wybrałem czwórkę, a głos ciągnął monotonicznie: „W sprawie przemocy w rodzinie, wybierz jeden. W sprawie molestowania seksualnego, wybierz dwa. W sprawach przypadków nękania osobistego lub telefonicznego, wybierz trzy. W innych sprawach, wybierz cztery. Lub czekaj na zgłoszenie się konsultanta...”

– Nareszcie – pomyślałem i po odczekaniu piętnastu minut i dwudziestu dwóch sekund (co mi tam, nie ja płacę rachunki) zgłosił się konsultant – niewątpliwie żywy człowiek.

– Czym mogę służyć? – zapytał uprzejmie.

– Chciałem zgłosić uprowadzenie.

– Rozumiem. Pańskie imię, nazwisko, PESEL, NIP...

– NIP-u nie pamiętam.

– Nie szkodzi. Numer dowodu osobistego! – podałem i już gdzieś po kwadransie mogliśmy przejść do rzeczy. – Kto konkretnie został uprowadzony? – pytał funkcjonariusz. – Dziecko, współmałżonka może?

– Ja.

– Słucham?

– Zostałem uprowadzony, uwięziony i pozbawiony możliwości powrotu do domu i tylko cudem udało mi się zadzwonić na policję.

– Aha, jeśli pan pozwoli, zadam kilka pytań.

Policjant sprawiał wrażenie niesłuchanie kompetentnego. Spytał, ile osób mnie uprowadziło i nie zdziwił się, że jedna. Czy użyto wobec mnie broni palnej, białej, przemocy fizycznej? „Nie użyto”. Gdzie przebywam? „W ziemiance”. Gdzie znajduje się ta ziemianka? „Nie wiem”. Czy zażądano jakichś pieniędzy za moje uwolnienie? Czy porywacz postawił w ogóle jakieś warunki? Odpowiadałem negatywnie, bojąc się cały czas, że mój rozmówca uzna mnie za wariata, albo po prostu wyśle do diabła. Nic z tego, wykazał się anielską cierpliwością i dopiero gdzieś po następnym kwadransie podsumował:

– Powinien pan chyba porozmawiać z naszym ekspertem.

– Bardzo chętnie.

– W takim razie już łączę.

Tym razem trwało to ledwie parę sekund i dotarł do mnie głos: „Cześć, panie Jędrzejku. Widzę, że bardzo stęsknił się pan za mną! W pyski!”. Słuchawka wypadła mi z rąk...

Mówiąc szczerze, represje za moją akcję okazały się niewielkie. Trzy dni tylko o chlebie i wodzie, po czym nasze wzajemne relacje, jakgdyby nigdy nic, wróciły do normy. Tym łatwiej, że po tej próbie na dłuższy czas straciłem ochotę do podejmowania działań sprzecznych z regulaminem.

Przeciwnik okazał się dużo sprytniejszy, niż podejrzewałem, a zdezelowany telefon zniknął. Idiota ze mnie. Gdybym zadzwonił do Beaty, poruszyłaby niebo i ziemię, żeby mi pomóc! Z rozpaczy wziąłem się do pracy. Początkowo nagrywaliśmy nasze rozmowy, a ja je mozolnie spisywałem, ustawicznie pośpieszany przez mego gospodarza. Później stwierdziłem, że tradycyjne notowanie będzie praktyczniejsze. Broniek mówił rozwlekle, często się powtarzał, wrzucał swoje ulubione partykuły w rodzaju „kurczę pieczone w pysk”, tak więc szło nadążyć.

Niestety, w tym, co opowiadał, dyscypliny nie było żadnej. Gdy próbowałem namówić go na przyjęcie przynajmniej przybliżonej chronologii, tylko fukał gniewnie, po czym natychmiast zjawiał się Piorun, również fukając, a ja zgadzałem się na wszystko. Planowałem, że rozmowę z kłusownikiem zacznę od dzieciństwa, ale drążenie tematu szło mi jak z kamienia.

- To były, panie Jędrzejku, takie czasy, że nie mogłem pozwolić sobie, żeby być dzieckiem - powiedział w końcu. - W dodatku szybko został żem obustronnym sierotą. W pysk! Miałem pięć, najwyżej sześć lat, kiedy moją mamę zadenuncjowała pewna babina, dokwaterowana do naszej komunałki w Sankt Leningradzie. W tamtym czasie wyglądała jak worek brukwi, ale wcześniej była ściśle tajną damą dworu cara Mikołaja II, dlatego bez trudu rozpoznała w mojej rodzicielce zaginioną księżniczkę Anastazję. I ja się pana, Europejczyka, pytam, co tata miał zrobić, kiedy dowiedział się o donosie?

- Uciec?

- Prawdziwy komunista nigdy nie ucieka. Wybrał jedyne możliwe rozwiązanie. Zastrzelili obie z tego samego nagana jedną kulą.

- Co pan mówi? - zawołałem, chwytając się za głowę.

- Przecież widziałem ten incydent tak dobrze jak teraz pana. Lokatorkę zastrzelił za zdradę, a mamusię jako zdemaskowanego wroga klasowego. Po prostu musiał. I tym razem jemu samemu się upiekło, nawet awansował, został asystentem samego Gienricha Jagody, takim specjalistą od czystej roboty...

- Od czystej?! - zdziwiłem się, równocześnie nie mogąc pozbyć się przerażającego obrazu dwóch martwych kobiet na zakrwawionym linoleum, który pojawił się w moim mózgu.

– A nie pamięta pan, jaka to była epoka? „Wielka czystka”. Więc czyścili jak złoto... Niestety, choć tatko w porę aresztował komisarza Jagodę, wkrótce sam został zdemaskowany jako szpieg fiński, chiński i świński, no i pojechał na białe niedźwiedzie.

Baton nie chciał zdradzić konkretów dotyczących tego zdarzenia. Raz tylko powiedział, że zdecydował kolejny donos. Kiedy indziej pochwalił się, że w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym dostał brązową odznakę imienia Pawlika Morozowa, gówniarza, który zadenuncjował własnych rodziców. Wystarczyło dodać A do M... Więc dodałem, ale nie pochwaliłem się wnioskami.

Równie powściągliwy był pan Bronisław, jeśli idzie o innych członków swojej rodziny. Utrzymywał, że jest sam jak palec, który zawsze miał w pogardzie trwałe związki. (Nie licząc naturalnie Związku Radzieckiego.) Co nie znaczy, że nie było w jego życiu kobiet. Tych nie potrafił zliczyć, a jak twierdził, w czasie krótkiej służby w marynarce narzeczoną miał w każdym porcie.

– I powiem panu z ręką na portfelu, do dziś nie wiem, co one wszystkie we mnie widziały! – wspominał z rozmarzeniem.

– Nigdy się pan ich o to nie pytał?

– A jak miałem się pytać, skoro obowiązywała konspiracja? W pysk. Żadna nigdy nie poznała mojego nazwiska, a ja często ich twarzy.

– Jak to?

– Preferowałem randki w ciemno, a jak przyszło działać w kraju arabskim, towar często był, jak to się mówi, „w opakowaniu”. No i zdarzało się, że kupowałem kota w worku. Raz na przykład, podczas akcji w Maroku, dostałem rabat u handlarza żywym towarem w Marrakeszu. Wywiózł żem taką jedną w burce na pustynię, rozbieram ją, a to nie zgadniesz pan...

– Wielbłąd?

– Facet! W dodatku eunuch. Żadnego pożytku. Przecież zbrojeńcem nie jestem... – tu obdarzył mnie przyjacielskim kuksańcem. – Choć, prawdę powiedziawszy, nie takie orientacje w życiu się odgrywało. Pamiętam, jeszcze w latach pięćdziesiątych jechał żem z zagraniczną delegacją koleją transsyberyjską w kostiumie transwestyty. Używałem wtedy pseudonimu „Krasawica”.

- Ale po co?
- Przewodniczący delegacji naszych Żółtych Braci nie tolerował żadnych mężczyzn w swoim towarzystwie. Skądinąd mu się nie dziwię, parę fajnych Chinek w życiu poznałem. A widział pan kiedyś pięknego Chińczyka?

- Rzecz gustu.

- W dodatku musiałem pilnować, żeby delegacja za bardzo się nie rozglądała i patrzyła wyłącznie w lewo. Bo widzisz pan, po lewej stronie torów zbudowano już komunizm, znaczy jego makiety zaprojektowane przez inżyniera Potiomkina, a po prawej jeszcze nie zdążono. I chodziło o to, żeby towarzysze chińscy nie popatrzyli w prawo. Początkowo szło nam nieźle, bo Przewodniczący w ogóle nie spojrzął ani razu w okno, tylko chciał coraz to nowych kobiet do salonki. Mieliśmy naszykowane dwa tuziny komsołówek, ale droga długa, a jemu ciągle Mao!

- A to ten Przewodniczący? - zaskoczyłem. - Mao Tse...

- Tse tse...! Całą podróż był pod muchą! Na szczęście nie był szczególnie wybredny, jeśli idzie o urodę, i podobała mu się każda etranżerka. Niestety, po pewnym czasie skończyły się nam konduktorki i maszynistki, a nawet dróżniczki pochodzące z łapanek! No i na wysokości Nowosybirsk tłumacz delegacji kiwa na mnie palcem i mówi: „Nu «Krasawica», tiepier ty!”. Z trudem powściągnąłem uśmiech. Ale mój gospodarz, jak stwierdził, był przygotowany na każdą sytuację. Miał ze sobą raketki i piłkę, a stół w restauracyjnym posiadał idealne wymiary do ping-ponga. A Przewodniczący, wiadomo, był fanatykiem tej gry... Co będę panu gadał, dojechaliśmy do samej Moskwy, a on ciągle jeszcze chciał grać!

- I wygrał pan z nim?

- A pan by wygrał? W staniku, gorsecie i na szpilkach? Nabawiłem się takiego wstrętu do tej gry, że dziś jak tylko wezmę piłeczkę do ręki, robię się żółty i odczuwam ból przy siadaniu. Kurczę pieczone w pysk!

* * *

Powoli, z ogromnymi trudnościami zacząłem wreszcie konstruować ramy życiorysu zasłużonego kłusownika. Najbardziej ciekawiło mnie, jak stał się Polakiem.

– A co to takiego trudnego? Jak się całe życie było internacjonalistą, to bycie przedstawicielem jakiegokolwiek nacji nie nastęrcza najmniejszych trudności. No może raz jak podczas ofensywy Tot chcieli, żebym był Wietnamczykiem, w pysk. Już nawet chciałem się żółtaczką wszczepienną zakazić, ale okazało się, że byłem odporny!

– Wspominał mi pan też o akcjach w Afryce...

– A tak, sporo tego było, Angola, Etiopia...

– No właśnie. Grał pan wtedy Murzyna?

– A co to trudnego? Jeden Murzyn na milion bywa albinosem, a jak to nie chwytało, zawsze mogłem być kreolem – doradcą z socjalistycznej Kuby. „Chico grillado in mordes”.

– Co takiego?

– Kurczę pieczone w pysk, po ichniejszemu! Inna rzecz, że jedna z ważniejszych przygód przydarzyła mi się podczas praktyki w Afryce, kiedy walczyłem z dekolonizacją.

– Chyba o dekolonizację! – poprawiłem.

– Jak ją zwał, tak ją zwał. Istota walki była przecież prosta. Zabrać imperialistom kolonię, a dać ją nam. Niestety – westchnął – udało się tylko częściowo.

– Jak to częściowo?

– Po okresie początkowych sukcesów cały interes przejęli Kitajce. Ale wcześniej wyglądało to zupełnie inaczej. Szliśmy jak burza. Osobiście przybyłem do Rodezji w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym, w ramach komisji, która miała wyjaśnić, co się stało z Dagiem?

– Dagiem?

– Sekretarzem Generalnym ONZ Dagiem Hammarskjöldem, który zginął w katastrofie samolotowej. W końcu śmierć Sekretarza Generalnego (nawet jeśli tylko ONZ-u) to nie w kij dmuchał. U nas to by napisali, że zmarł na własną prośbę, albo ze względu na zły stan zdrowia, i każdy by zrozumiał. Ale w szerokim świecie taka ściema nie da rady. Początkowo myślałem, że ten Hammerszyld to jakiś syjonista, a tu nie uwierzy pan, Szwed! Albo przynajmniej takiego udawał! Dostaliśmy za zadanie ustalić przyczyny katastrofy, a do wyboru mieliśmy aż pięć wersji i wszystkie prawdziwe. A) że był pijany pilot; B) że Dag zmusił go do lądowania, bijąc go po łbie

immunitetem dyplomatycznym; C) że samolot zawadził skrzydłem o pancernego baobaba; D) że trafił go grom z jasnego nieba; no i E) że się rozbił we mgle przy czwartym podchodzeniu do lądowania. Niestety, przybywamy na miejsce, a tu zgłasza się na ochotnika kilkunastu towarzyszy afrykańskich i dawaj na wyścigi meldować i o nagrodę pytać.

- Co meldować?

- Różnie. Jeden, że stracił maszynę z bazooki, drugi, że spowodował sztuczną mgłę, trzeci, że podczas przeglądu na lotnisku w Nairobi odkręcił to i owo, czwarty, że zamienił Hammarskjöldowi teczkę... Na bombową! Na szczęście pułkownik Littlewood, nasz przewodniczący, miał głowę na karku.

- Littlewood?

- Amerykański, bezstronny komunista (po polsku Lasek)! Na początek kazał rozstrzelać tych wszystkich gadatliwych ochotników, w pysk, a potem komisyjnie ustalił, że przyczyna katastrofy jest nieznana, i umorzył śledztwo. Salomonowy wyrok!

- Być może. Ale z tego co czytałem po latach, prawda o tej zbrodni wyszła na jaw. Podobno znaleziono nawet ustny rozkaz z Kremla. „Załatwić sekretarza”.

- Wypadek przy pracy. Zresztą nie o tego sekretarza chodziło, ale nie ma się czym martwić, panie Marciński. Wpadki zdarzają się nawet najwybitniejszym agentom.

- Panu na pewno nie!

- No to pana zaskoczę. Zdarzyło mi się raz, że musiałem zlikwidować zdrajcę. I to z własnego grona. W dodatku takiego co zbiegł za granicę. Inna sprawa, że nic mu to nie pomogło! Jak trzeba, to ręce mamy dłuuuugie!

Poruszyłem się nieswojo, myśląc o swoim planie ucieczki, a Piorun jak-by zgadując moje myśli, zastrzygł uchem.

- Oczywiście zdrajców likwiduje się dużo lepiej niż starych towarzyszy. To jednak zdecydowanie bardziej dyskomfortowe. Tatuś opowiadał mi, że kiedy przyszło mu osobiście rozwalać towarzysza Berię, to płakał jak żubr.

- Zaraz, o ile dobrze zapamiętałem, pański tatuś przepadł w „wielkiej czystce”.

– Na parę lat! Ale zrehabilitowany, już w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym wrócił na front. A potem nic innego nie robił, tylko przez dziesięć lat mnie szukał. Ale Baton głupi nie był, więc go nie znalazł.

Pomyślałem o nagrodzie im. Pawlika Morozowa otrzymanej za zadenuncjowanie własnego ojca, toteż zawzięte poszukiwania syna przez Mordkę Rozenkranca wydały mi się w pełni uzasadnione.

– Tylko jak się pan zdołał ukrywać tak długo? Przecież pan był dzieckiem!

– Ale bystrym. Przez pięć lat udawałem dziewczynkę w domu sierot imienia Nadzieży Krupskiej. Piękne to były lata. Jeden malczyk i tysiąc dziewczynek. Ech, żyć nie umierać! Ale wszystko, co dobre, ma swój kres.

– Wpadł pan?

– To było nieuniknione, mimo świetnie prowadzonej konspiracji. Zarost mnie się sypnął, a jak jeszcze dwie koleżanki ze wspólnej sypialni w ciążę zaszły, zrobił się skandal. Nie wiem, co by się ze mną stało, ale akurat odwiedzał nasz ośrodek sam generał Sierow. Z prezentami przyjechał dla sierotek.

– Ludzki człowiek!

– I jaki odpowiedzialny! W końcu większość dziewczynek z jego przyczyny została tymi sierotkami. Zobaczył, co się stało, i zaraz wziął mnie na przesłuchanie... Musiałem mu się spodobać, bo zamiast zastrzelić na miejscu jak psa, zabrał mnie ze sobą. „Wychowam ordynusa na ordynansa” – obiecał. I dotrzymał słowa, ponad rok glansowałem mu...

– Buty? – wtrąciłem domyślnie.

– Też! I wtedy właśnie razem z nim trafiłem do Polski. Generał szukał czwórki do brydża – głównie wśród przedwojennych oficerów i asów podziemia i tak dobrze szukał, że udało mu się zgromadzić aż cztery czwórki. Może pan słyszał? „Proces szesnastu”.

– Słyszałem, niestety. Rozumiem, że i tam odegrał pan swoją rolę?

– Opowiem inną razą. Zresztą krótko to wszystko trwało. Na Nowy Rok generał Sierow przebrał się za Dziadka Mroza i w ramach rozdawnictwa prezentów podarował mi swojemu ulubionemu miejscowemu towarzyszowi, który się nazywał jak ta gwiazdka betlejemka... – Światło!

– Ośławiony Józef Światło?!

- No i dzięki niemu stałem się prawdziwym Polakiem! W pysk. Chciałem podrażnić smakowity temat, ale Baton nie dał się zbić z pantałyku.

- Miało być o wypadce, to będzie. Wysłano mnie, jak mówiłem, do Londynu. Późne lata osiemdziesiąte. Dostałem adres, rysopis i parasol.

- Parasol? - zdziwiłem się. - No rzeczywiście, w Londynie zawsze pada.

- Parasol z zatrutym końcem. Niby sprawa prosta jak drut od tego parasola, a tu wydarza się taki pech...

- Trucizna nie zadziałała?

- Pogoda, proszę pana, zawiodła. Trzy tygodnie „rybie oko”! Rzecz w Brytanii niespotykana! Żar z nieba, ani jednej chmurki. I jak mam wyjść na ulicę z parasolem w grabie, żeby nie być podejrzanym? Ślę więc telefonogram do centrali z prośbą: „Przyślijcie parasolkę od słońca!”.

- Niezły pomysł.

- A oni, że wszystkie umbrele w terenie, bo robią akcję na papieża. Oczywiście Baton nie taki głupi. Sięgnąłem po inne metody. Podrzuciłem żem zdrajcy truciznę w olejku do opalania.

- I co?

- Sukces okazał się połowiczny. Służąca trup, ciotka sztywna, a on nawet łysiny nie posmarował.

- I zrezygnował pan?

- To pan mnie nie zna. Za ostatnie pieniądze kupiłem żem bombę od Irlandzkiej Armii Republikańskiej i podrzuciłem mu do sejf. Niech się chłopak rozerwie. I już następnego dnia rozerwało włamywacza, który przypadkowo usiłował się tam dostać. Z rozpaczy postanowiłem załatwić sprawę standardowo. Sztucerem. Zasadziłem się w krzakach w Hyde Parku, bo ten dysydent co czwartek przyłąził tam na corner i przemawiał...

- I co?

- Zastrzeliłem jak psa, w pysk!

- W takim razie gdzie tu wypadka?

- Niestety, akurat nadeszła pieriestrojka. Zmieniły się koncepcje. Zdrajcę pośmiertnie ułaskawili, a mnie za moją wierność dali naganę z wpisem do akt.